

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

21

Janina przytakiwała gorąco steroryzowana i bier-na, czując rosnącą z każdą chwilą żywą wdzięczność dla swojego wybawcy.

— Jakże wywdzięczę się panu za tyle dobro-dziejstw — szepnęła wzruszona.

— Nie mówmy o tem błagam panią.

Po chwili wahania młoda dziewczyna zapytała nieśmiało:

— Sądzę, że obecnie pani markiza czuć się musi bardzo szczęśliwą — powrót niespodziewany jej syna i to małżeństwo.

— Tak — odpowiedział Delrue krótko. — Wszy-stko się dla niej pomyślnie ułożyło.

Odpowiedź ta zaciążyła na duszy Janiny, jak kamień. Był to już koniec jej zuchwałych marzeń. Ostatni promień nadziei, pielęgnowany w jej sercu, zgasł teraz nagle i nieodwołalnie.

Po krótkiej pauzie zdobyła się jeszcze na jedno pytanie:

— Zapewne zamek Kermor zostanie teraz za-mieszkanie?

Delrue zrozumiał jej niepokój i pospieszył ją uspokoić.

— Złaje mi się, że już nigdy do niego nie po-wrócę. Bankier de Bressien kupił go od markiza de Kermor w zamiarze odsprzedań go z korzy-ścią. Markiz nudził się tam w niemożliwy sposób, a hrabia Henryk przepelniony jest pragnieniem oglądania południowych krajów Afryki. O dziedzicznym swoim zamku w Bretanii, zdaje się, że zapomniał zupełnie. Muszę jeszcze pani powiedzieć — dodał powodowany ostrożnością — że nie uirzy już pani nigdy nikogo z rodziny Kermorów. Nie żywią do pani żadnego żalu, czy niechęci, jednakże nagle zni-knięcie pani zmroziło ich cokolwiek i chcą o pani zapomnieć. Bo gdyby choć znali przyczynę, która panią skłoniła do tak nierozważnego kroku.

— I dziś jeszcze nie mogłabym im tej przy-czyny wyjawic — odpowiedziała smutnie Janina.

— Nie jestem niedyskretnym, panno Janino. Konstatauję jedynie fakta.

— To prawda. Przyznaję, że zawiniłam, ale nie mogłam inaczej uczynić.

Przechodząc obok jakiegoś zadymionego szynku, Delrue nagle cofnął się przerażony. Zdawało mu się, że poza okopconą szybą dojrzał potężną sylwetkę Barykady i dosłyszał głos jego donośny.

Pociągnął za sobą Janinę i przyspieszył kroku. Idąc dalej, starał się jednak wytłomaczyć to złu-dzenie, któremu niespodziewanie uległ. Przecież Ba-rykada nie mógł się tu znajdować. Albo uciekł i przebywa gdzieś daleko, albo siedzi zamknięty gdzieś w więzieniu. Wciążnie więc niepokoić go będą te przekłete wizje przeszłości: Janina, Luiza, apasz, pan Colin Megret i baron de Bressien! Jedna z nich nareszcie, Janina le Brenn, wkrótce przesta-nie go prześladować swoją osobą! Podstępnie uło-żony program, mający na celu usunięcie jej na zawsze z widowni Paryża, udał się doskonale. Nikt nie śledził ich ucieczki i nie miał zamiaru stanąć w po-przek jego kombinacji.

Delrue powodowany nagłą uprzejmością dla swo-jej ofiary, kupił na dworcu koszyczek z prowian-tem i wręczył Janinie, nagląc ją równocześnie, aby prędko siadała do pociągu.

Młoda dziewczyna, silnie wzruszona i przepel-niona wdzięcznością bez granic, uściśkała gorąco jego ręce, szepcząc jakieś słowa podziękowania.

Pociąg, który zatrzymał się na krótko w Wer-salu, ruszył dalej, uwożąc ją w stronę ukochanych stron rodzinnych. Długo jeszcze powiewała chu-steczką, żegnając Andrzeja Delrue stojącego na plat-formie.

Po chwili zawrócił w stronę wyjścia, uśmiecha-jąc się tryumfująco:

— Szczęśliwej podróży, moja mała — zaśmiał się ironicznie. — Baba z wozu, koniom lżej! A te-raz Delrue zasłużył sobie na dobry obiad. Chodźmy do miasta.

Wśród ciemnej, nieprzebranej nocy pospieszny pociąg pędził z całych sił, sapiąc i dysząc ciężko. Wydaje się być jakimś gigantycznym potworem, biegnącym do jemu tylko wiadomego celu, bez-względnie niszcząc i depcząc po drodze wszystko, co stać się mu może przeszkodą.

Kilka krótkotrwałych przystanków, cisza nocna przerwana jęklwym gwizdem i syczeniem pary, na-wolywania konduktora: rzucone monotonnym, zmę-czonym głosem: Chartres, Lival Mans... i znowu przyspieszony gorączkowy pościg przez puste, ciche pola i lasy.

Rennes! Pociąg wieżdza na ziemię Bretanii, pę-dzi wzdłuż wonnych wybrzeży morza. Orzęwający, słony podmuch pieści twarz Janiny. Gorączkowe wypieki spowodowane bezsennością wybiegły na nią, ale w oczach błyszczą jasne promyki. Różowy blask pada na jej jasną głowę. Poświt wstaje promienny i zuchwały, odrzucając wstecz ciągnące jeszcze dłu-giem pasmem ostatnie mgły nocy.

Swit wstaje i z nim nowa radość wstępuje w serce Janiny. Podchodzi do okna i rozczulonem spojrzeniem obejmuje rozkwiecione pola i łąki. Złocą się one i różowią w pierwszych blaskach wscho-dzącej jutrzienki. Przed oknami wagonu przesuwają się olbrzymie, wybujałe świerki i wiązy dziwacznie pokręcone.

Przystanek. Janina lekko wyskakuje z wagonu. Za budynkiem kolejowym oczekuje wielka landara przewożąca podróżnych do Roche-Kermor, ubogiej wioski rybackiej. Janina le Brenn odwróciła się szybko na jej widok, aby nie być poznana przez starego w żnię, który dziwi się bardzo, że taka miejska panienka decyduje się iść pieszo po wy-boistej, pełnej kamieni drodze aż do siola.

Janina spieszyła się, łagodne wzruszenie przy-spieszało bicie jej serca. Przez pola i łąki szła, wy-bierając znajome sobie ścieżki. Doszła już do plaży, pokrytej warstwą złotego piasku, do miejsca, gdzie zazwyczaj kąpała się będąc dzieckiem. Tam, w głębi rysuje się wyrażnie rzęd białych domków napół ukrytych w bujnej zieleni. To Roche Kermor. Ten pierwszy zaraz z brzegu, obok budki strażnika, to jej domek, jedyna spuścizna po rodzicach. Przyczajony jest do fantastycznej skały, jak gniazdo dzi-kiego ptaka. Janina zręcznie kilkoma susami wydo-była się na bystry szkarp pokryty trawą morską i wikliną. Stano'a na szczycie i rozejrzała się wo-koło. Zamek Roche-Kermor wznosi się wspaniały i ciężki na podnózu skał rdzawych, bieli się kościół o wyniosłej, błyszczącej dzwonicy, z wysmukłych kominów rybackich domów unosi się dym biały i wisi jak mgła w powietrzu. Janina biegnie do swojego domku. Zastaje furtkę ogrodzenia szczelnie zamkniętą, więc bez namysłu przeskakuje zwinnie do ogrodu. Starannie jest utrzymany i obok grzą-dek karczochów, cebuli, kapusty, pysznia się w słońcu wybujałe krzewy o różnobarwnych kwiatach.

— Żona Ivona, strażnika, jest dobrą gospody-nią — myśli z zadowoleniem Janina — i szczerze zaopiekowała się moim ogródkiem. Radość jej jest niezmierna, w sercu pełno dobrych, dziecięcych uczuć i rozmarzenia. Te straszne, przeżyte lata w Paryżu, wydają jej się już snem jakimś dalekim! Małym kluczykiem, wydobyłym z kieszeni, otwo-rzyła drzwi domu, jęczące trochę na zardzewiałych zawiasach. Wszystko tu jest w porządku i lśni od czystości. W rogu pokoju wznoszą się wysokie bre-tońskie łóżka, z szczerlnie zasuniętymi czerwonymi firankami, obok wielka szafa dębowa, z prostotą rzeźbiona, na półkach, grube, fajansowe talerze, ron-dle miedziane i różne drobiazgi. Na obszernym ko-miniku wazon z sztucznymi kwiatami i figurynki z porcelany. Wiszą nad nim dwa, wypełzłe już por-trety: Ivona le Brenn i Maryi Anny, rodziców Ja-niny.

Młoda dziewczyna długą chwilę wpatruje się w nie z rozczołaniem, szepcząc do nich jakieś ciche słowa tęsknoty i wdzięczności.

Stare rachunki.

Zdawało się Andrzejowi Delrue, że przechodząc kolo szynku w Menil Montant, dostrzegł niebezpieczną sylwetkę swojego wroga apasza Barykady, lecz prędko przypuszczenie to odsunął od siebie i zaczął myśleć o czem innym, nie zwracając uwagi na to, co się za nim dziać mogło. Jednakże powi-nien był baczeniejsze oko zwrócić w tę stronę.

Barykada po udanej ucieczce swojej wskoczył był do tramwaju idącego w stronę Hal. Miał tam w zaułkach kilku dobrze ukrytych oddanych mu i pewnych współników, na których pomoc mógł liczyć w każdej chwili. Nie była to co prawda jego dzielnica, bo Barykada operował najchętniej w dziel-nicy t. zw.: Marcina, lecz znany tu był dostate-cznie i ceniony w tem stowarzyszeniu zbrodniarzy, w którym solidarność była bardzo ceniona. W go-dzinę później Barykada dostał od nich to, czego najwięcej na razie potrzebował. Był tak artysty-cznie przebrany, że najwprawniejsze oko policyanta nie byłoby go poznało pod tem przebraniem. Miał

na sobie prawie nowe ubranie w wielkie kraty, bluzę niebi ską, gruby łańcuch u kamizelki, twardy filcowy kapelusz i potężną laskę w ręce. W kie-szeni zaś spodni dzwoniło kilka sztuk złota i cienki, dobrze wyostrzony nóż na wszelki wypadek. do surduta wsunięto mu portfel skórzany, zawierający papiery tożsamości na nazwisko jakiegoś pocziwca, z zawodu robotnika.

— A teraz wal do swoich interesów, towarzy-szu — powiedziano mu na pożegnanie. — Jesteś piękny jak Cezar!

— Potrzebuję na razie przechadzki na świeżem powietrzu — odparł Barykada, przechodząc kolo Menilmuche, wstąpię po Flora.

Barykada miał zdecydowaną słabość do tego zdeprawowanego i niebezpiecznego ulicznika i przez cały czas swojej przymusowej niewoli tęsknił szcze-rze za nim.

W jakiś czas później „Postrach kanału“ sie-dział w towarzystwie Totor, we wstrętnej knajpie, zadymionej i cuchnącej niemożliwie. Na brudnym stole stała przed nimi butelka kwaśnego wina, Ba-rykada z łokciami wspartymi szeroko na stole, przy-słuchiwał się z bacznością opowiadaniu małego apasza, którego oczy świeciły się, jak dwa karbun-kuły. Totor zdaje swojemu staremu przyjacielowi sprawę z wydarzeń i „roboty“ uczynionej w osta-tnich tygodniach, w czasie jego nieobecności.

— Wiesz stary — mówi Totor — ta Eliza, córka Jakóba posługacza z ulicy św. Antoniego...

— No co? Złapali ją? Szkoda, była nam po-trzebna.

— Nie to. Jest na wolności i zdrowa jak rybka. Tylko zachorowała na moralność i teraz siedzi w domu u ojca i ani dzióbka nie wyściubi na ulicę. Nie podoba ci się to, stary, ale co robić, tak z nią jest niestety.

— A wyście jej trochę nie poturbowali i nie nauczyli rozumu, niedołęgi! Ażeby was! taka do rzeczy brzana, wlaźła mi w oko jak bolączka.

— Czekaliśmy na ciebie — nie mogliśmy bez ciebie nic robić! Myśleliśmy, że taki był może twój rozkaz.

— Co znowu? Albo ja to głupi! Ja bym ją oddał rodzinie, ja, Barykada?! — Czyście poszaleli wszyscy?

— Skoro powróciłeś, niema strachu. Obłaska-wimy ją jak potrzeba.

— Mnie ją zostawcie. Rozprawię się z nią, aż mnie popamiętają na ulicy św. Antoniego! A do kroćset! Eliza! krew mnie zaleje!

Uderzył olbrzymią pięścią o stół, aż szyby za-dzwoniły.

— I co dalej? — zapytał po chwili ochryplym głosem.

— Dalej? jest coś dobrego — odpowiedział To-tor, mrugając oczyma.

— Głup!

— Ten blondynek, co to zamówił ostatnią robotę.

— Delrue — Andrzej Delrue.

— Oh! Wiesz jak się nazywa?

— Coby nie! I nazwisko i zajęcie i miejsce za-mieszkania.

— Sekretarz Kermorów?

— Prawdę mówisz, Totor — Co z nim?

Ale Totor nie miał już ochoty mówić dalej; roz-czarowany był i niezadowolony. Barykada dotknął go boleśnie. Myślał, że będzie mógł przed nim po-szczycić się dobrymi wiadomościami, a tu on już wiedział o wszystkim.

— A skąd ty wiesz o nim? — zapytał, krzy-wiąc się nieprzyjemnie.

— M m przyjaciele między policyantami — od-parł spokojnie Barykada. — A ty?

— Ja śledziłem gościa uczepony u resorów jego dryndy. Przecież się na nim zemścić muszę... to szpicel.

— Nie — zaprzeczył Barykada. — Ale i nie wart więcej. Jego przełożony to całkiem coś innego, no wiesz, ten, co na nas łapę położył na ulicy Entrepot.

— Ah! to był Kermor?

— Właśnie. Hrabia de Kermor. Dzielnym i od-powiedzialnym chłop.

— No to pocóż on popsuł „robotę“ tamtego, kiedy jedną sztamę trzymali?

— Otóż to, trzeba się o tem dowiedzieć i ode-brać swoje pieniądze, bo inaczej ja się zaopiekuję tym Delrue. Już dawno ciąży mi ta sprawa, chcę sobie ulżyć.

— Cicho, stary — szepnął nagle Totor. — Nie wrzeszcz tak i puść oko na ulicę.

— Poco? Nic nie widzę.

— Nic nie widzisz? Powiadam ci, otwórz oko i zamknij gębę. No i cóż?

(Ciąg dalszy nastąpi.)